

WYPRÓBOWANY „EGZORCYZM” DLA ŚWIECKICH

Słowo *egzorcyzm*, pochodzące od greckiego *egzorkidzo* – zaklinam, wyklinam, poprzysięgam – odnosimy zwykle tylko do tekstów przeznaczonych dla egzorcystów, posyłanych do walki z szatanem przez biskupów, jak też do samej walki przez nich prowadzonej. Nie będzie jednak błędem, jeśli użyjemy tego słowa w jego szerszym znaczeniu, odnosząc je także do sposobów walki, odbiegających od stosowanego przez Kościół schematu. Należy do nich opisany poniżej „niby-egzorcyzm”, mogący znaleźć zastosowanie nawet tam, gdzie „prawdziwe” egzorcyzmy nie okazały się skuteczne. Osoby świeckie przy jego pomocy odniosły już tak wiele zwycięstw, że może uchodzić za niezawodny. Warto poświadczyć to kilkoma przykładami, zaczerpniętymi z poradni życia duchowego z ostatnich lat.

W miasteczku nad Bugiem pewna rodzina zaczęła odczuwać swąd spalenizny, coraz silniejszy. Przez kilka lat prowadzone remonty, od przebudowy pieca i komina począwszy, a na malowaniu ścian skończywszy, nie przyniosły żadnych rezultatów. Doszło do tego, że mieszkańcy tego domu poprzeciębiani spali przy otwartych oknach, nawet w czasie dużego mrozu. Dopiero gdy ktoś z nich poczuł ten sam swąd, wchodząc do kościoła, uświadomili sobie, że to musi być działanie demona na ich zmysł powonienia, a nie dym, i zwrócili się do mnie o pomoc. Po zastosowaniu „niby-egzorcyzmu” stopniowo, w ciągu dwóch tygodni, swąd zanikał i całkowicie rozproszył się.

W pewnym domu (i w jego otoczeniu) wkrótce po śmierci sąsiada, który mimo próśb nie dopełnił formalności majątkowych wobec rodziny, która kupiła od niego działkę i pobudowała na niej dom i budynki gospodarcze, „zaczęło straszyć”. Opis zdarzeń mógłby być bardzo obszerny, wystarczy jednak ogólnie stwierdzić, że było to dziwne zachowywanie się przedmiotów i zwierząt: były przenoszone, przewracane, niszczone (np. metalowy krzyż, ubrania, książki), niekiedy znikwały na zawsze (np. zawartość lodówki, pieniądze położone na stole). Ludzie otrzymywali ciosy z powietrza różnymi przedmiotami, np. w czasie pracy w polu. Na dzień przed moimi odwiedzinami wszystkie prosięta zauważono rano na dachu stodoły, skąd kolejno spadały turlając się. Duch posługiwał się kartkami (miałem u siebie), większość z nich spadała spod sufitu na podłogę, a zeszyt w sąsiednim pomieszczeniu stawał się coraz „chudszy”. Pokryte niewprawnym pismem dającym się z trudem odczytać, zawierają złośliwe komentarze do działań demona albo groźby lub ostrzeżenia (np.: „Nie kupujcie krowy, bo jak kupicie, to ją postawie na czubek stodoły albo potne.” Albo: „Jo chce piniędzy”). Groźby wypełniał, np. pociął krowie na pastwisku kopyta i wymię. Po powrocie do domu zastawano w nim nieład, a nawet cuchnące łajno w dużych ilościach. Po zastosowaniu „niby-egzorcyzmu” wkrótce zjawiska te zanikły. Powtórzyły się po jakimś czasie (po 2 latach?), lecz rodzina ponownie skorzystała z mojej „instrukcji zastosowania” tegoż „egzorcyzmu” i do dzisiaj problem nie powrócił.

Spotkany w autokarze w drodze do Medziugorja narkoman starał się bezskutecznie o przyjęcie tamże do słynnego już ośrodka odwykowego, prowadzonego przez siostrę Elwirę. Od dwóch tygodni, wspomagany przez rodzinę, walczył dzielnie, choć z widocznym wysiłkiem, z głodem narkotykowym. Uświadomiłem mu, że chodzi tu nie tylko o działanie na niego narkotyków, ale o potężnego ducha narkomanii, który ma wpływ na jego ciało, ducha i duszę, m.in. wzniecając ten głód. Pouczyłem go, jak może nie latami, lecz natychmiast z niewolnika stać się apostołem, ratując nie tylko siebie, ale innych zniewolonych przez szatana. Po otrzymaniu błogosławieństwa rozpoczął walkę i apostołstwo, zaczął spokojnie spać, a po kilku miesiącach przyjechał do mnie na Mszę świętą dziękczynną, pełen entuzjazmu do życia, zadowolony także z otrzymanej pracy.

Powyższe przykłady na pewno rozbudziły ciekawość czytelnika, który chętnie dowie się teraz, na czym polega ten „niby-egzorcyzm”.

Sprawa jest bardzo prosta i nie wykracza poza to, co już znają czytelnicy dwóch pierwszych tomów *W Szkole Krzyża* (Michalineum 2001. Tom I: Od zrozumienia do podjęcia krzyża, tom II: Z poradnika duszpasterza. Zob. zwł. tom 2 s. 42): to właśnie **nasz osobisty krzyż jest tym „egzorcyzmem”!**

Nie wszystkim łatwo jest pojąć, że dzieła *odkupienia* dokonał tylko jeden Człowiek – Chrystus – w imieniu całej ludzkości (należy u Jego boku dostrzec także w tym dziele „Nową Ewę” – Niepokalanie Poczętą), lecz w dziele zbawiania poszczególnych ludzi uczestniczą oni sami oraz cały Kościół (w Niebie, w Czystańcu i na ziemi) – każdy z członków na swój własny sposób. Inaczej mówiąc: wraz z Chrystusem stajemy się „współzbawicielami” naszych bliźnich. I tu właśnie dostrzegamy rolę naszych duchowych ofiar i czynów miłosierdzia, wśród których na poczesnym miejscu umieszczamy nasz codzienny krzyż, bez którego zbawienie niektórych ludzi byłoby niemożliwe (!) Nie dlatego, by Bóg nie mógł zbawiać bez nas,

lecz dlatego, że takie właśnie jest Jego postanowienie. Dla nas jest to jednocześnie wielka szansa: tym większa będzie nasza chwała w Niebie, im więcej przyczynimy się do zbawienia innych.

Tak więc Ofiara Odkupiciela – Głowy Kościoła – wyjednała nam u Ojca prawo wstępu do Nieba, ale dla wejścia do niego konieczne jest jeszcze z woli Bożej użycie „klucza do Nieba”, a ten spoczywa w ręku Mistycznego Ciała Chrystusa – Kościoła. Są nim duchowe ofiary członków Kościoła, albo inaczej nasz osobisty krzyż, który nabiera wartości w złączeniu z krzyżem Jezusa. Otóż wiedząc, że na nasz codzienny krzyż składają się próby dopuszczone przez Boga, ciężary naszych wad, słabości fizycznych i chorób, niepowodzeń i przykrości doznanych ze strony otoczenia, podjęte przez nas samych ofiary duchowe (np. umartwienia), ale także *udręki szatańskie* – bierzemy je na swoje barki (jak polecił nam to Chrystus) i składamy Mu je w ofierze, pragnąc za cenę tej ofiary dopomóc innym do zbawienia. Stawiamy przez to piekielnego przeciwnika natychmiast na pozycji przegranej: atakując nas, traci jednocześnie te dusze, które już uważał za swoje (lub prawie swoje), np. konających lub innych zniewolonych, od których musi odstąpić z woli Boga. Obraz: gdy ktoś naciska na jeden koniec huśtawki sporządzonej z podpartej na środku deski, automatycznie drugi koniec wznosi się ku niebu. Absurdalna sytuacja: szatan przyczynia się, „naciskając” na nas, do czyjegoś zbawienia! Oblicza więc swoje zyski i straty, zauważając, że atakując nas traci więcej niż zyskuje, co prawie zawsze skłania go do zaprzestania udręk.

Chociaż on sam to zauważa, nie powinniśmy się obawiać powiedzieć mu w myśli o tym, że już został pokonany, a nawet że może nas dręczyć jeszcze bardziej, jeśli chce ponieść większe straty! Mogą to być np. słowa: „Atakuj mnie i dręcz ile chcesz, ale zobaczysz, ile na tym stracisz!” Czym innym jest wdawanie się z szatanem w rozmowę – np. stawianie mu pytań, nie mówiąc już o prośbach (czego zabrania wszystkim Kościół w swej mądrości) – a czym innym samo odezwanie się do niego, czego obawiać się nie powinniśmy. Są osoby, które boją się nawet powiedzieć: „Idź precz, szatanie!” Może więc powinny zdjąć z szyi także „mówiący medalik” (św. Benedykta), zawierający wypisany na nim egzorcyzm...?

Ktoś zapyta: skoro jest to tak skuteczny sposób walki, dlaczego biskupi oraz delegowani przez nich księża egzorcyciści nie zastąpią nim modlitw z księgi Rytuału...?

Trzeba nam wiedzieć, że władza *ostatecznego* wypędzenia szatana ze świata, by *już nigdy* nie mógł (jakiś konkretny zły duch) do niego powrócić, by kusić i dręczyć ludzi, została przez Chrystusa przekazana filarom Kościoła – Apostołom oraz ich następcom. Dlatego też ich egzorcyzmy mocniej w szatana uderzają, większy wzbudzają u niego opór co do opuszczenia miejsca lub człowieka – wie, że musi na zawsze wrócić do piekła. Przypomnijmy sobie z Ewangelii prośbę tysięcy szatanów („moje imię Legion”), wypędzanych przez Pana Jezusa z człowieka, by mogli chociaż wejść w świnie. Zgoda na to oznaczała, że mogą tym samym pozostać w świecie i działać dalej.

Ludzie świeccy oraz duchowni, nie posłani do walki przez biskupów, nie są tak groźni dla szatanów jak tamci, jednak i oni mają nakaz walki oraz odpowiednie do niej uzbrojenie, zwłaszcza na mocy sakramentu bierzmowania. Może nie są tak groźni ze względu na brak władzy wypędzenia demonów na zawsze do piekła, jednak mogą być nawet jeszcze bardziej groźni, gdy chodzi o zmuszenie ich do opuszczenia miejsca lub osoby. Nie zawsze i nie wszędzie mówi się dziś o tym młodzieży, która przez to zatracą świadomość bycia rycerzami (żołnierzami) Chrystusa, uzbrojonymi przez Ducha Męstwa, Boskiego Uświęciciela. Wymierzany dawniej przez biskupa delikatny policzek przypominał o czekającej bierzmowanego walce i był niejako symbolicznym posłaniem do jej prowadzenia, podobnie jak uderzenie w ramię szablą ze strony dowódcy.

Ci, którzy posiadli ten „sposób walki”, są zdolni otworzyć się na potężne działanie w swojej duszy Ducha Świętego jako Ducha męstwa, który tak przemawia przez św. Jana Apostoła, autora *Apokalipsy*: „Przestań się lękać tego, co będziesz cierpieć. Oto diabeł ma niektórych spośród was wtrącić do więzienia, abyście próbie zostali poddani, a znosić będziecie ucisk przez dziesięć dni. Bądź wierny aż do śmierci, a dam ci wieniec życia” (Ap 10,11). Ci mężni żołnierze Chrystusowi mogą naśladować chociażby świętego Franciszka z Asyżu, który, jak dowiadujemy się z *Kwiatków*, ciągnany nocą przez demona za włosy po posadzce kościoła, wołał do niego: „Otwórz gębę, żebym mógł ci w nią napluć!” Jak wiele może zwycięstw odnieść armia, która już z góry ma całkowitą pewność zwycięstwa! Czy i Ty, Bracie lub Siostrze, nie chcesz do niej należeć?